

*"Miałem wtedy czternaście lat, brat dziewięć, siostra Konstancja sześć (...) W domu były jeszcze starsze siostry - Anna i Janina, ta druga z mężem i dwuletnim synkiem Wiktorem (...) Mama leżała, bo akurat chorowała trochę, a ojciec mleko 'zaparzał'. My z bratem siedzieliśmy za stołem, chleb posypany cukrem zajadaliśmy (...) Okna zamrożnięte, na podwórku minus dwadzieścia pięć stopni wtedy było. Nagle wchodzią dwa 'bojce', stają w progu - jeden z jednej strony, drugi z drugiej i mówią: 'Za dwie godziny macie wybrać się, pakować się i opuścić mieszkanie!' (...) Ubranie to co na sobie, trochę bielizny, pościel, jeden z tych 'Ruskich' co przyszedł poradził, by żywności trochę też zabrać. Ojciec miał w zapasie kaszę, mąkę, chleb. Kiedyś chleb samemu się piekło (...) Zawieźli na stację do Białowieży".*

*„Nasz los dopełnił się nocą z 19-tego na 20-tego czerwca 1941 roku po zakończeniu oktawy Bożego Ciała. Pamiętam to dokładnie, ponieważ na krześle mojego łóżka wisiała jeszcze biała sukienka, w której uczestniczyłam w procesji. Obudziło nas głośnie walenie do drzwi, po chwili do mieszkania weszło kilku uzbrojonych enkawudzistów. Stryjowi kazano szybko stanąć pod ścianą z rękami do góry, przykładając mu do piersi pistolet, nie pozwolono się ubrać. Nam, to znaczy stryjence, jej córce i mnie kazano się ubierać. Do stryja cały czas mierzono z pistoletu. Następnie odczytano nam wyrok, z czego wynikało, że Dobrowolski Michał, jego żona Anna, córka Helena i ja Alina – Daniela Dobrowolska są aresztowani. Kazano nam się szybko pakować, powiedziano, że jedziemy spotkać się ze starszymi dziećmi stryja, którzy są w więzieniu. Ale prawdę poznaliśmy dzięki dyrektorowi fabryki, Rosjaninowi, który z urzędu uczestniczył też w aresztowaniu nas. To on nam szepnął, zabierajcie, co się tylko da, jedziecie na Syberię, tam wam wszystko się przyda. Pakowaliśmy więc szybko do worków głównie ubrania i pościel, trochę też naczyń i suchego prowiantu, cały czas pod czujną strażą enkawudzistów, trzymających w rękach pistolety gotowe do ich szybkiego użycia, co stwarzało dla nas trwożną sytuację.”*

*"Kiedy wybuchła wojna mieszkaliśmy w Białymstoku, przy ulicy Kochanowskiego 21 (...) Wywieźli nas 13 kwietnia 1940 roku, nad ranem. (...) Wcześniej, około trzeciej w nocy, przyszli sąsiedzi i powiadomili nas, że Sowieci wywożą wszystkie rodziny w nieznanym kierunku. Uciekliśmy z domu, zaczęliśmy błąkać się po ulicach. Pusto, zimno, ciemno, bo to jeszcze kwiecień. Nic nie wiadomo. Nad ranem postanowiliśmy wrócić. Chwilę później pod dom podjechał samochód. Wysiedli Sowieci, czterech otoczyło dom, jeden – oficer – wszedł do środka. Mama od razu zaczęła się pakować. A on tak spojrzał i mówi: ‘Co wy, chaziajka [gospodyni], pakujecie się?’ ‘A tak’ ‘A gdzie wy się pakujecie?’ ‘Słyszałam, że nas wywozicie do męża’ ‘No tak. Pakujcie się. Macie 15 minut do spakowania się’ (...) Załadowali nas na samochód i zawieźli na ul. Hetmańską, pod tunel. Tam wagony stały. Załadowali nas i zaczęliśmy podróż. Jechaliśmy prawie miesiąc, aż dojechaliśmy do Pawłodaru (...)"*

*"Jak wyglądało to nasze mieszkanie? Na pięć rodzin liczących w sumie 25 osób miała wystarczyć jedna dość duża izba, na środku której znajdował się ogromny kocioł do gotowania potraw. Ludzie mogli jednak zająć tylko połowę tego pomieszczenia, ponieważ w głębi, za kotłem, stała... krowa. Zamiast okien były tam tylko nieoszlone otwory. Nie było też drzwi. Nie można było tego porównać ani do mieszkania, ani nawet do obory. W miarę możliwości oczyściliśmy to pomieszczenie i całą naszą 25-osobową już rodziną usiłowaliśmy się jakoś rozlokować. Na szczęście nie było tam zimno, bo lata w Kazachstanie są upalne. Temperatura w ciągu dnia dochodziła do 45 stopni C.*

*Nadeszła noc. Rozłożyliśmy się na glinianej podłodze. Jako materace służyła nam bylica, czyli tzw. burzan wycięty w stepie, którą przykryliśmy kocami i prześcieradłami. Noc była straszna. Ze wszystkich stron wlatywały roje komarów. Zostaliśmy tak pokąsani, że następnego dnia, cali podrapani, wyglądaliśmy jak chorzy na ospę. Na drugą noc nasi rodzice wpadli na pomysł by zapalić pod paleniskiem, na którym stał kocioł do gotowania, trochę zielonej trawy. Sposób ten okazał się skuteczny - obfity dym z paleniska wypędził komary. Wówczas okna i drzwi zasłoniliśmy kocami i prześcieradłami. Komarów wprawdzie nie było, ale dokuczał nam swąd i duchota. Trzeciej nocy postanowiliśmy spać na stepie. Ten pomysł też nie był udany, ponieważ w środku nocy musieliśmy uciekać przed karawaną wielbłądów (...)"*